

Giewont (Teatr Nowy – Łódź)

Jackowi Chmielnikowi nie sposób odmówić ani umiejętności imitatorskich, ani konsekwencji. W jego przebojowej „Romancy” XVIII-wieczna tragedia zakłócana przez niesforemego widza podrobiona była znakomicie. W noszącym podtytuł *dramat romantyczny* „Giewoncie” dźwięczą echa całych scen i sekwencji z dramaturgii wieszczów, tudzież nie tylko z niej (bodaj najlepszy jest smaczny pastisz Piwnicy pod Baranami). Kunszt imitacji wprzęgnięty jest jednak w służbę głupstwa myślowego rozmiarów piramidalnych. Oto w Chmielnikowej replice „Przygotowania” z „Kordiana” diabły tworzą postać demona, który rodzi im się pomyłkowo w mundurze SS; każą mu znaleźć w Polsce i zabić patriotę-księdza, demon jednak od czynu odstępuje, za to chce strącić krzyż z Giewontu i mocuje się na tatrzańskim szczycie ze współczesnym poetą romantycznym (!), którego ciemny rewers stanowi. Płacze się jeszcze po górach i dolinach, nie wiadomo po co, jakaś smętna dziewczyna, jakiś stereotypowy rodak z Ameryki, jest ucharakteryzowany na Piotra Skrzyneckiego przewodnik i hardzi górale, wszyscy w oparach wierszowanego patosu. Owieczek i baranów brak, pomijając tych, z niżej podpisanym na czele, którzy do Nowego na tę bzdurę dali się przypędzić. Ireneusz Czop dobrze, z ogniem mówi romantyczne strofy; życzyć mu jednak trzeba mierzenia się z improwizacjami Słowackiego, nie Chmielnika, z oryginałami, nie imitacjami.